

EGZEMPLARZ PŁATNY

Nr. 5 styczeń-marzec 2022r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



„ ... za rok, za dzień, za chwilę,
razem nie będzie nas...”

Z KART HISTORII

Prababka króla polskiego z włości krzeszowskiej – Barbara z Tarnowskich Zamoyska

O historii Krzeszowa nad Sanem i jego najbliższej okolicy napisano już sporo prac. Sam posiadam nawet jedną, bardzo interesującą książkę, wydaną całkiem niedawno, bo zaledwie 6 lat temu, pod mile brzmiącym tytułem „Jubileusz 250-lecia powstania kościoła parafialnego pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Hucie Krzeszowskiej”.

Również w niej można znaleźć mnóstwo ciekawych informacji odnośnie tego dawnego ośrodka miejskiego, włącznie ze skróconą treścią prawa magdeburskiego, nadanego mu najprawdopodobniej w 1640 roku, chociaż według lokalnych miłośników historii odbyło się to dopiero kilkanaście miesięcy później.

Jakkolwiek było naprawdę, najciekawsze wydają mi się na tę chwilę jednak inne wiadomości, a mianowicie związane zarówno z miejscowym portem rzeczny, jak i z zamkiem krzeszowskim. Zwłaszcza wieści na temat tego ostatniego, niegdyś niezwykle ważnego obiektu fortecznego, okazują się bowiem dla nas dosyć istotne.

Co prawda, nie był on z pewnością pałacem w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, ani tym bardziej fortecą, podobną do tej w Kamieńcu Podolskim, czy w Podhorcach, istniejącymi zresztą do dnia dzisiejszego, tyle że na... Ukrainie, a jedynie warownią przygraniczną.

Leżący na okrągłym wzgórzu „Rotunda” obiekt (228 m n.p.m.), oddzielony kiedyś od przyległych wzniesień fosą, na którym znajdują się obecnie pozostałości dawnego folwarku, kościoła parafialnego oraz plebanii, stanowił zapewne pierwotne osadnictwo Krzeszowa.

Dla nas ważnym jest to, że już w 1520 roku, za sprawą króla Zygmunta I Starego, ów zamek wraz ze starostwem krzeszowskim (królewszczyną) przeszedł na własność zacnego rodu Tarnowskich, tzn. Jana Spytki z Tarnowa. Dobrami tymi owa familia administrowała aż do 1576 roku włącznie, (dwa lata później powstał Biłgoraj), po czym wskutek przegranego sporu z Ossolińskimi, zostały one przyznane prawnie na sejmie toruńskim bratu sekretarza królewskiego – Marcinowi.

To od niego, za zgodą ówczesnie panującego, czyli Stefana Batorego, kupił je w 1580 roku za 3000 zł słynny w dziejach Jan Sariusz Zamoyski. W ten sposób całe starostwo krzeszowskie, wraz z zameczkiem i samym Krzeszowem, zostało przekazane w wieczystą dzierżawę kanclerzowi wielkiemu koronnemu i przyszłemu hetmanowi Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Co ciekawe, już w 1588 roku następny władca – król Zygmunt III Waza podczas swego sejmu koronacyjnego przekształcił tęarendę w dziedziczną własność.

Dlatego po upływie dwóch lat wszystkie dobra, stanowiące wspomnianą królewszczynę, a więc Piskorowice, Kulno, Wola Kulońska, Biszcz, Korchów, Księżpól, Lipiny, Bukowina, Kamionka, Potok, Płusy, miasto Tarnogród oraz Krzeszów włączono na zawsze w skład tzw. Ordynacji Zamojskiej, zatwierdzonej ustawą sejmową dokładnie w 1590 roku.

Stolicą interesującego nas klucza krzeszowskiego, w skład którego wchodziły wyżej wyliczone miejscowości stanowił oczywiście Krzeszów, pełniący dodatkowo rolę ważnego portu rzeczno na Sanie, z którego i do którego docierały transporty znad Morza Bałtyckiego, m.in. przyprawy korzenne oraz owoce egzotyczne. Budowano tu również skutki, czyli małe statki rzeczne. (Miastem, jak wspominałem, za zgodą Władysława IV Wazy, został znacznie później).

Właśnie tu stał ów interesujący nasz zameczek, a w zasadzie swoista rezydencja. Podobno wcześniej należała ona do Gryzeldy Batorówny, trzeciej żony założyciela Ordynacji, natomiast z pewnością do jego ostatniej małżonki Barbary z Tarnowskich, córki Stanisława

kasztelana sandomierskiego i starosty stopnickiego, matki zmarłej w dzieciństwie Gryzeldy a także chorowitego Tomasza, drugiego ordynata, którą poślubił 14 czerwca 1592 roku.

Albowiem po śmierci męża Jana Sariusza Zamoyskiego (w czerwcu 1605 roku) przeniosła się właśnie do Krzeszowa, który dostała wcześniej w dożywocie i mieszkała w nim na stałe już do końca swojego życia. W międzyczasie zamek ten został rzecz jasna przebudowany, wiemy też że posiadał zabudowania folwarczne oraz sad. (Został on zburzony, a raczej pozostałe po nim ruiny, całkiem późno, bo dopiero podczas działań wojennych w 1914 roku, a obecnie znajduje się w rękach prywatnych).

Jeśli chodzi o historię tego obiektu, warto wspomnieć chociażby to, że w latach 1649-1651 przebywał w nim książę Jeremi Wiśniowiecki wraz ze swą żoną Gryzeldą Zamoyską i synem Michałem Korybutem – przyszłym królem Polski. Tu także wojewoda ruski sporządził nawet swój testament (28 marca 1651).

Oprócz tego w 1658 roku bywała tu również Maria Kazimiera d'Arquien, wtedy jeszcze małżonka trzeciego ordynata Jana Sobiepana Zamoyskiego, przyszła żona kolejnego władcy Jana III Sobieskiego – znana jako Marysienka Sobieska, czyli królowa Polski.

Interesująca jest także miejscowa legenda, mówiąca o tym że, w chwili gdy Krzeszów miał się dostać pod panowanie Austrii po I rozbiorze, ówczesny ordynat (Jan Jakub Zamoyski), kazał rozebrać swój zameczek, a raczej ukryć go przez obsypanie ziemią, aby tylko nie dostał się w ręce zaborcy.

Tymczasem po zmianie granic stracił on na znaczeniu i rozebrano go z bardzo prozaicznych powodów – w dawnym mieście brakowało kamienia a budynek ten nie był już nikomu potrzebny. W jego miejsce wzniesiono zaś obszerny modrzewiowy dwór, który przez setki lat służył zarówno, jako siedziba klucza dóbr oraz dom czasowego pobytu rodu Zamoyskich, jak też mieszkanie zarządcy portu rzecznego, zajmującego się spławem towarów eksportowanych i importowanych do Ordynacji Zamojskiej.

Wracając do Barbary Zamoyskiej, pochodziła ona nie tylko z rodu, do którego Krzeszów swego czasu należał, lecz także tego, który przyczynił się do powstania kilku znaczących miast małopolskich – Tarnobrodu, Tarnowa, czy Tarnobrzegu, ponadto Tarnopola na Ukrainie oraz Tarnogóry, będącej obecnie wsią w powiecie krasnostawskim.

To jej poświęcam mój kolejny artykuł a w zasadzie macierzyńskiej trosce tej kobiety o jedynego syna Tomasza, prawie nieznaną ogółowi, która wychodziła stąd, tzn. z zamku krzeszowskiego pod postacią osobliwej korespondencji aż przez pięć lat, a więc do jej śmierci w 1610 roku w Krzeszowie. (Została jednak pochowana w Zamościu, jako jedyna z czterech żon kanclerza i hetmana wielkiego Jana Sariusza Zamoyskiego, zaś jej portret znajduje się w Muzeum w Wilanowie a listy do potomka w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie).

Rodzina staropolska, będąca gwarantem ładu społecznego, oparta była o model patriarchalny, w którym zazwyczaj przeważało surowe wychowanie za sprawą ojca, czyli głowę. Tylko co się działo, gdy to kobieta musiała sama przygotować młode pokolenie do godnego reprezentowania swego rodu. Jak one radziły sobie z tym zadaniem, kiedy zabrakło pomocy męża i ojca? Jakie wartości przekazywały wtedy osieroconym potomkom?

Przypadek Barbary z Tarnowskich (1566-1610), rodu o zawołaniu: „Sięgajcie gwiazd mężowie”, pomoże nam poznać lepiej to zagadnienie. Jest ono o tyle istotne, że owo wychowanie dokonywało się właśnie na tej ziemi – biłgorajsko-niżańskiej, aczkolwiek czasy wspólnej przynależności do województwa lubelskiego i powiatu biłgorajskiego są dla wszystkich z pewnością najważniejsze.

Niestety nie była ona jedyną i wyłączną opiekunką zrodzonego szczęśliwie syna, chociaż zdecydowanie najgorliwszą. Oprócz matki-wdowy jedyny spadkobierca pierwszego ordynata na Zamościu miał wyznaczonych testamentalnie aż sześciu opiekunów: biskupa chełmskiego Jerzego Zamoyskiego, wojewodę lubelskiego Marka Sobieskiego, hetmana

polnego koronnego Stanisława Żółkiewskiego, biskupa płockiego Wojciecha Baranowskiego, marszałka wielkiego koronnego Mikołaja Zebrzydowskiego oraz biskupa chełmińskiego, potem warmińskiego a także kujawskiego Piotra Tylickiego.

Pierwszy znany nam list matki do syna datowany jest na 29 lutego 1605 roku, zatem powstał jeszcze za życia kanclerza i hetmana wielkiego Jana Sariusza Zamoyskiego. Ostatnie słowa Barbara z Tarnowskich napisała zaś dokładnie na tydzień przed swą śmiercią, czyli 19 kwietnia 1610 roku. Ogółem zachowały się i są nam znane czterdzieści cztery jej listy do Tomasza. Z podziałem na lata wyglądało to następująco: 3 sporządziła w 1605, 4 w 1606, 6 w 1607, 15 w 1608, 12 w 1609 i 3 w 1610 roku. Daty rocznej jednego z listów nie udało się dotąd ustalić.

Co charakterystyczne, omawiana korespondencja pisana jest zawsze jedną i tą samą ręką, z pewnością ręką samej hetmanowej. Została sporządzona wyłącznie w języku polskim, gdyż Barbara Zamoyska, nie posługiwała się wtedy łaciną.

Można w niej od razu zauważyć duży ładunek emocji, świadczący o bardzo bliskim związku jedyne go potomka pierwszego ordynata z własną matką. Nieodzowną i rzecz jasna istotną częścią każdego tekstu były jej zalecenia oraz napomnienia moralno-wychowawcze. Nakazywała w nich bowiem synowi przestrzeganie wpojonych od dzieciństwa zasad bogobojności oraz odbywanie regularnych praktyk religijnych.

Swe listy z Krzeszowa wysyłała do Zamościa, bo tam akurat przebywał Tomasz Zamoyski, ucząc się pilnie w miejscowej Akademii. Wspominała o tym, pisząc do niego, iż „by przy świętach wesoło, ale nabożnie i pilnie służył Panu Bogu”, ciesząc się przy okazji, że „miewa mszę świętą sprawowaną przed nim przez znajomego księdza, którą powinien zawsze przed nauką słuchać”, bo „dobrze jest od Pana Boga zaczynać”.

Przedmiotem żywego zainteresowania wdowy – matki były również postępy syna w nauce, nad czym mieli czuwać, a nawet przyczyniać się do nich wyznaczeni nauczyciele, zwłaszcza Szymon Szymonowicz. Barbara Zamoyska chciała zresztą wiedzieć nie tylko o sukcesach naukowych, lecz także o wszystkich sprawach, rozmowach i zdarzeniach związanych z własnym jedynakiem. Stąd bardzo często dopytywała się o najdrobniejsze szczegóły z życia codziennego syna.

To bolesne oderwanie od matki miało oczywiście konkretny cel, a mianowicie służyło zapobieganiu rozpieszczania Tomasza, więc zdrobnienia jego imienia oraz pieszczotliwe zwroty znajdowały się także w tej niezwyklej korespondencji. Jako przykład podam tu słowa napisane do niego w 1609 roku:

„Mój najmilszy synku, nie dziw (się), że Cię poprzedziła pisanie, bom Cię i miłością poprzedziła. Odpoczynek mój na świecie, to jeno ta uciecha, abym to o Tobie słyszała i wiedziała, czego dobra matka po dobrem synu czeka. Ufam miłosierdziu Bożemu, że mnie tym ubłogosławi”.

Takie matczyne nostalgiae stanowią niemal główny motyw wieloletniej korespondencji z Krzeszowa do Zamościa. A zatem nie było to surowe, patriarchalne wychowanie, lecz raczej relacja rodzic-dziecko, oparta na głębokich uczuciach wzajemnych, bo też właśnie w nim, jako jedynym spadkobiercy Ordynacji Zamojskiej, pokładała ogromne oczekiwania i nadzieję.

Zainteresowanie sprawami syna, tak w zdrowiu, jak i w chorobie, przejawiało się nieustannie, zwłaszcza wtedy, gdy Barbara nawoływała go do utrzymywania regularnych kontaktów z domem. Z powodu zbyt rzadkiej korespondencji w jednym z listów nawet takie czyniła mu wyrzuty: „Tomaszku czemuś żeś tak leniwy, często tam posyłam listy, a nie mam tak dawno ich od Ciebie?”

Ponieważ był on od pierwszych swych dni chorowitym dzieckiem, dlatego dość często pojawiały się u jego matki obawy i troska o wątłe zdrowie. O tym, iż w jej listach zdecydowanie dominowała ta problematyka, nie musimy nikogo przekonywać. „Chwałę Pana

Boga za Twe dobre zdrowie, proszę dobroci Jego aby mieć nad nim opiekę raczył”, to najczęstsze słowa w korespondencji.

Dbałość Barbary Zamoyskiej o kondycję Tomasza przejawiała się także w staraniach o prawidłowy sposób jego odżywiania się. Zabiegała więc o smaczne oraz urozmaicone potrawy i gdy tylko miała ku temu okazję, posyłała mu z Krzeszowa różne przysmaki, jak na przykład kasztany, orzechy włoskie, gruszki z własnego sadu lub inne dostępne owoce:

„Brzoskwiń już nie mam. Byś był tygodniem pierwszej pisał, bardzo rada bym ich była posłała. Teraz wina w gronach posyłam, z winnicy księdza plebana. Nie wiem, czy Ci tam oddawano gruszki, śliwy, jabłka, orzechy włoskie, com Ci słała”.

Barbara nie odmawiała synowi również owoców południowych, które ze względu na swą wysoką cenę, stanowiły rodzaj wytwornych prezentów. Na przykład już 4 czerwca 1606 roku komunikowała: „Pomarańcz dziesięć Ci posyłam. Mało, bo mi ich mało przywieziono z Gdańska (do portu rzecznego w Krzeszowie oczywiście), gdyż popsuły się na szkucie. Soku cytrynowego do przysmaku do kurczątek posyłam Ci. Zdrowo jadaj z niem pieczone, po kasku biorąc na przystaweczkę. W szafce go swej miej”.

Wiemy, że pomarańcze Tomasz cenił sobie najbardziej, przede wszystkim ze względu na ich wartości smakowe, zaś sok z cytryny służył mu często zamiast octu, jako przyprawa do pieczenia. Warto wiedzieć ponadto, że już z początku 1608 roku jego matka uzewnętrzniła w wymianie listowej wielki niepokój, wywołany sposobem wychowania i wykształcenia syna oraz administrowania samą ordynacją.

Miało to związek z kwestią nadużyć finansowych jednego z wyznaczonych opiekunów, a stał się nim nie kto inny, jak znany rokoszanin, wojewoda krakowski – Mikołaj Zebrzydowski. Ten nie troszcząc się o rozwój intelektualny i wychowanie Tomasza, dbał jedynie o zyski z jego rodzowego majątku. Aby tym łatwiej byłoby mu szafować jego dochodami, dobierał przychylne sobie otoczenie młodego ordynata, rzecz jasna ze szkodą dla edukacji potomka ordynata.

Z tej to przyczyny owdowiała hetmanowa rozpoczęła bardzo energiczne zabiegi, apelując we wspomnianej sprawie nawet do króla Zygmunta III. Jak zatem widać, związane z ordynacją problemy, bywały również znaczącą przeszkodą w przyjeździe matki do syna a jednocześnie zrozumiałym źródłem ich ciągłych trosk.

Tak pisała o tym: „Sierotaś, cierpieć musisz, ale Pan Bóg sprawiedliwy pomści się, a Tobie nagrodi. Wiedz, że ojciec ojca Twego (Stanisław Zamoyski) w małych majątnościach obumarł, a za błogosławieństwem Bożym i cnotą on do takich był przyszedł, jakie zostawił. Ja jechać i czynić, co dobrej matce należy będę, Pana Boga biorąc na ratunek, którego opiece Cię poruczam”.

Zdaje się, iż wraz z powyższymi nieprzyjemnościami, zaistniałymi przez jednego z opiekunów w Zamościu, przyszedł drugi ordynat nieodwołalnie wkraczał w świat dorosłych, z ich kłopotami, zmartwieniami a może nawet i okrucieństwami.

Był wprawdzie traktowany nade wszystko przez matkę jak dziecko, lecz wydaje się, iż Barbara Zamoyska starała się przygotować go jak najlepiej do przyszłej działalności publicznej. W końcu został on później, podobnie do swego słynnego ojca, kanclerzem wielkim koronnym i... dziadkiem króla Polski.

Wszelkie prawa zastrzeżone.



Barbara z Tarnowskich
Zamoyska - obraz z Kozłówki
1890



Tomasz Zamoyski w wieku
szkolnym



Tomasz Zamoyski- wojewoda
kijowski, kanclerz wielki koronny
od 1635

***Piotr Flor
Prezes BTR***

BOOKIECIK WRAŻEŃ POLECA

Wielkimi krokami zbliżają się Walentynki - lutowe święto zakochanych, którym nieobce są porywy serca tudzież romantyczne gesty. Typowym prezentem dla ukochanej osoby bywają kartki z życzeniami od mniej lub bardziej znanego (czyt. gotowego ujawnić swą tożsamość) Walentego bądź Walentyny, pudełka czekoladek, biżuteria czy kwiaty. Tymczasem ja postaram się dzisiaj zachęcić (szczególnie męskiego czytelnika tego kwartalnika) do obdarowania ukochanej osoby prezentem książkowym. Same również, nasze Drogie Czytelniczki, możecie sobie sprawić taki upominek z okazji wspomnianego święta. Bo czemuż nie? Kto bogatemu w uczucia i emocje zabroni?

Nie od dziś wiadomo, że kobiety kochają czytać o miłości i wszelkich jej przejawach. Tak jak wiele jest jej odcieni, tak różne podgatunki powieści mieszczą się pod hasłem "romans". Nie ukrywam, że mnie osobiście najbliższy jest romans historyczny.

Myślicie czasem z sentymentem, jak by to było narodzić się w innych czasach, w innej rzeczywistości, gdzie ogromną rolę przywiązywano do dobrego wychowania, ogłady i elegancji, gdzie uczucia ubierano w najpiękniejsze gesty i słowa...? Kusząca perspektywa, nieprawdaż? Choć jak głosi stare porzekadło "Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma" - każda epoka miała bowiem swoje zalety, ale i momenty, na które lepiej spuścić zasłonę milczenia.

Do grona rodzimych autorów romansów historycznych, a wiedzcie, że nie jest ich zbyt wielu, dołączyła przed niespełna dwoma laty Izabela Rybak, ukrywająca się pod pseudonimem Melisa Bel. Ta miłośniczka wszystkich dziesięciu muz, dyplomowana wiolonczelistka, autorka powieści przepchniętych emocjami i romantyzmem, pisanych w towarzystwie małej, czarnej kotki, zaprasza nas w fascynującą podróż do XIX - wiecznej Anglii. A oto jej powieści i moje z ich lektury wrażenia...

"Diabelski hrabia"

Debiutancka powieść Melisy przenosi nas do Anglii z początku XIX wieku. Główna bohaterka, o wdzięcznym imieniu Jocelyn, to uboga, ciężko doświadczona przez los młoda wdowa. Jej ślub z bogatym synem wicehrabiego (skandaliczny mezalians) nie został nigdy zaakceptowany przez rodzinę męża, stąd młodzi musieli zaszyć się na prowincji i walczyć o przetrwanie. Do rosnącego zadłużenia szybko dołączyły kłopoty ze zdrowiem - Edward zmarł, zostawiając żonę z długami i prośbą, by o pomoc finansową zwróciła się do jego kuzyna - hrabiego Charlesa Winstona. Nie jest to łatwy krok dla dumnej Jocelyn, która z trudnościami zwykła radzić sobie sama, ale utrata domu zmusza ją do tej ostateczności. Entuzjazmem wobec konieczności zaopiekowania się wdową nie pała również sam hrabia, określany przez miejscowych przymiotnikiem "diabelski", a to ze względu na swoją rosnącą postawę, ciemną czuprynę, mroczne spojrzenie i ubodobanie do garderoby w głębokiej czerni. Słynie także ze swej stanowczości, a nawet porywczego charakteru. Wizja przyjęcia pod swój dach kobiety, w której kochał się skrycie w swych nastoletnich latach, a która wyszła za innego, budzi jego opór i zakłóca spokój serca. Nie ma jednak innego wyjścia, dobre maniery i koligacje rodzinne do czegoś zobowiązują. Jocelyn przybywa do okazałej, choć zaniedbanej posiadłości i od pierwszych chwil zaczyna się między nimi emocjonująca zabawa w kotka i myszkę. Zdradzę jeszcze tylko, że na scenie pojawi się również szarmancki baron, któremu na widok ślicznej wdówki również żywiej zabije serce. Kogo zatem wybierze, przed jakimi dylematami przyjdzie jej stanąć? Przekonajcie się sami.

Śledząc miłosne podchody wspomnianej pary co rusz wybuchałam śmiechem, bo Jocelyn nie należy do pokornych kobietek z usteczkami w ciup i rączkami na podołku. Jest charakterna, mówi, co myśli, nawet jeśli z pewnością będzie tego żałować. A przyszło jej trafić jak swój na swego - hrabia do spolegliwych dżentelmenów bynajmniej się nie zalicza. Jestem jednak przekonana, że szybko zaskarbi sobie waszą uwagę i ciepłe uczucia.

"W paszczy lwa"

To kontynuacja serii "Niepokorni", zapoczątkowanej przez "Diabelskiego hrabiego". Fabuła drugiego tomu koncentruje się na perypetiach uczuciowych dwójki bohaterów, którzy przewinęli się w poprzednim tomie. Trzydziestoletni Nicholas Devon jest baronem, weteranem wojny napoleońskiej i jedynym spadkobiercą podupadłego majątku, który odziedziczył po śmierci ojca. Budzi powszechny podziw i szacunek na salonach. Otacza go zawsze wianuszek spragnionych jego uwagi i uwagi kobiet. Wśród zachwyconych niewiast, wyraźny prym wiedzie zakochana w nim już od pierwszego wejrzenia, szesnastoletnia córka markiza - Catherine Williams. Świeżo upieczona debiutantka nie ustaje w wysiłkach, by zdobyć serce "lwa salonowego". Jest zdeterminowana i nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć zamierzony cel. Do czego będzie zdolna i jakie wynikną z tego konsekwencje, doczytacie już sobie sami - nie będę Wam odbierać przyjemności z odkrywania kolejnych etapów jej ambitnego planu.

Autorka po raz kolejny przenosi nas w świat, którego dawno już nie ma - przestrzeń wypełnioną elegancją, wyczuciem stylu i smaku, wystawnymi przyjęciami i wszechobecną etykietą. O ile "Diabelski hrabia" był bardzo dobrym debiutem, kontynuacja cyklu to przykład literatury romantycznej w jej najlepszym wydaniu. Tekst jest dopracowany, a Melisa wręcz maluje słowem i buduje wyjątkowy klimat. Zamysł powieści opiera się na zręcznie skonstruowanej intrydze, okraszonej sporą dawką humoru i komedii omyłek.

Nie sposób nie wspomnieć o kreacji bohaterów - pozornie różnych, a jednak o równie płomiennych temperamentach, którzy ścierają się ze sobą, a jednocześnie przyciągają w iście magnetyczny sposób. Kitty jest urocza w swym roztargnieniu, dzikości, niespożytej energii i ciekawości świata. Nie jest bowiem delikatną mimozą, omdlewającą z byle powodu, lecz charakterną młodą damą z ogromnym apetytem na życie i zgłębianie wszelkich jego tajemnic. Dlatego zdecydowanie przeciwstawia się tradycyjnie pojmowanej roli kobiety jako żony i matki, podlegającej męzowskiemu prawu.

Tymczasem Nicholas, postrzegany jako silny mężczyzna, ma miękkie serce i jest wrażliwy na krzywdę innych. Odczuwa lęki, wynikające z bolesnej przeszłości własnej rodziny, choć to właśnie ona ukształtowała go w taki, a nie inny sposób. Niemal na równi z Nicholasem intrygują i inni bohaterowie książki - uważny czytelnik wychwyci, które z postaci autorka zamierza uczynić bohaterami kolejnego tomu.

Obie powieści miałam ogromną przyjemność objąć patronatem medialnym. Mogę również zdradzić, że premierę trzeciego tomu, zatytułowanego "Wilczy lord" zapowiedziano na luty tego roku. Być może ukaże się właśnie w Walentynki. Ja ze swej strony wspomnianą serię polecam bardzo gorąco.



Cykl "Niepokorni"

Wydawnictwo: Melisa Bel

Tu można zamówić książki:
www.melisa-bel.pl



Mariola Sokal-Dziura

(@bookiecik_wrazen)



NA SZKLANYM EKRANIE

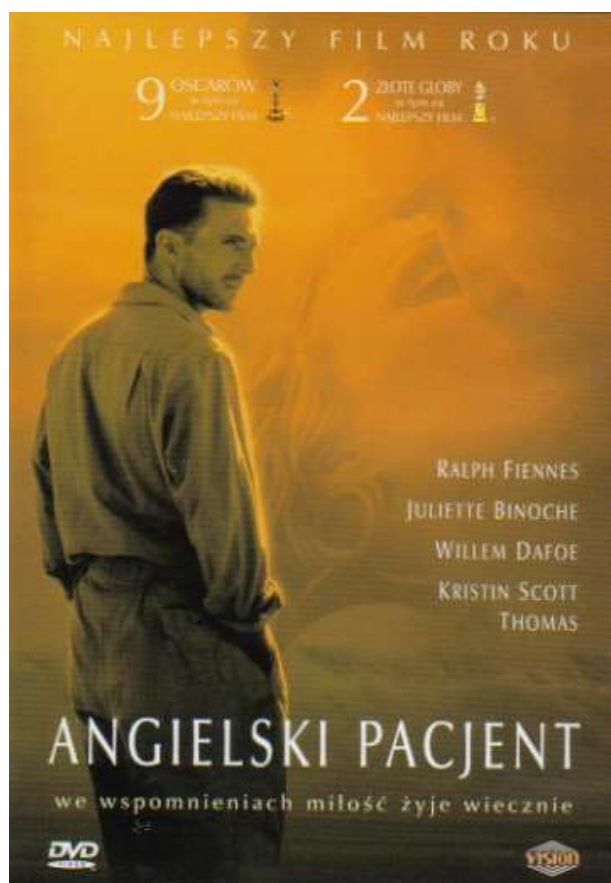
„Kiedy spotykamy tych, w których się zakochujemy, jakiś wymiar naszej duchowości ma charakter historyczny.“

„Angielski pacjent”- film reżyserii Anthonyego Minghelli i zdobywca 9 Oscarów to piękna historia o miłości, wojnie, cierpieniu oraz wspomnieniach pewnego pilota, które na zawsze odmieniają los kilku osób...

II wojna światowa, do małego wojskowego szpitala trafia ciężko ranny mężczyzna (Ralph Fiennes- wybitny, a przy tym wyjątkowo przystojny aktor). Beduini znaleźli go we wraku płonącego samolotu na pustyni. Pilot nie pamięta skąd pochodzi, ani kim jest- brytyjskim lotnikiem, a może nawet niemieckim szpiegiem? Bohater został jednak nazwany- „angielskim pacjentem”, przez to, że płynnie posługuje się tym językiem. W pamięci pozostały mu tylko urywki wspomnień dawnej miłości. Jego będąca zagadką tożsamość wzbudza zainteresowanie opiekującej się nim kanadyjskiej pielęgniarki (zagranej świetnie przez Juliette Binoche). Kobiecie towarzyszy młody hinduski saper (Naveen Andrews), a także agent alianckiego wywiadu o niejasnej przeszłości- Caravaggio(Willem Dafoe, który udowodnił przede wszystkim młodszemu widzom, iż fenomenalnie poradzi sobie nie tylko w znamiennej roli Zielonego Goblina). Z każdym dniem, dzięki czytanej książce (jedynej pamiętce rannego), bohaterowie są coraz bliżej poznania prawdy o nieznanym oraz o finale jego dramatycznego romansu z bogatą i zamężną Brytyjką Katherine Clifton...

Akcja filmu rozgrywa się na przestrzeni dwóch epok-we Włoszech, już pod koniec działań wojennych oraz wiele lat wcześniej- na tle surowego, pustynnego krajobrazu Afryki Północnej. Widz ma możliwość poznania tych wydarzeń, dzięki zastosowanej retrospekcji. Ten zabieg jednak sprawia, iż wszystko wydaje się być momentami chaotyczne, ponadto zmusza on odbiorcę do zwiększenia uwagi, aby ten nie pogubił się w przedstawianej historii. Natomiast muzyka oraz sceneria idealnie się dopełniają i oddają klimat prezentowanych zdarzeń.

Główny bohater wymazał wspomnienia niemal całkowicie, wydawać by się mogło, że spłonęły one razem z jego skórą i zostały głęboko ukryte pod „twardym pancerzem”. Być może mężczyzna doskonale zna swoją przeszłość i skrupulatnie ją ukrywa. W imię miłości musiał podjąć wiele trudnych i nie zawsze właściwych decyzji. Należy jednak pamiętać, że wojna to „zjawisko ekstremalne” i wywołuje w ludziach najgorsze instynkty. Nikt z nas nie ma pewności, jak postąpiłby na miejscu bohatera.



„Angielski pacjent” to niezwykła historia zakazanej miłości, która, mogę zapewnić, w niejednym z nas wzbudzi silne emocje i skłoni do głębszej refleksji. Serdecznie polecam i życzę udanego seansu!

Film został nakręcony na podstawie książki Michaela Ondaatje, uznana za jedno z największych osiągnięć prozy anglojęzycznej ostatnich lat.

Oprac. Aleksandra Chutkowska

„Połowa społeczeństwa spaliłaby cię na stosie, gdyby wiedzieli, co piszesz”

-cytat z filmu

„Darwin. Miłość i ewolucja” (reż. Jon Amiel) to brytyjski film biograficzny, przedstawiający postać wielkiego przyrodnika Karola Darwina (Paul Bettany) żyjącego w XIX wieku, uznawanego za ojca ewolucji. Kiedy poznajemy go na początku filmu, wie on szczęśliwe życie - ma czworo dzieci i kochającą żonę Emmę (Jennifer Connelly).

Charles Darwin to człowiek pełen pasji. Całymi dniami przesiaduje w swoim gabinecie, gdzie prowadzi badania. Zauważył bowiem, że gatunki zmieniają się, a za mechanizm ewolucji zaproponował dobór naturalny. Mówiąc jak najprościej, Darwin twierdził, że te osobniki, które mają cechy sprzyjające przetrwaniu gatunku będą miały tendencję do pozostawiania większej liczby potomstwa od innych, a więc liczba „ulepszonych” osobników będzie rosła i sprawi, że populacja będzie lepiej przystosowana do środowiska.

Czy w filmie było to tak podkreślone? Nie. Czy zrozumiałam teorię Darwina po obejrzeniu filmu? Nie. Dlaczego? Ponieważ film praktycznie nie skupia się na karierze Darwina, a na jego życiu osobistym. Można uważać, że jest to złe, bo skoro film przedstawia tak wielką postać, powinniśmy wiedzieć, co myśli, jakie są jego poglądy. I nie ukrywam, według mnie tego zabrakło. Z drugiej strony, koncentrując się na tym, film byłby adresowany do znacznie węższej grupy odbiorców - tych, którzy się tym interesują, a wybierając tę drugą opcję docieramy do znacznie większej liczby osób. Proszę się przyznać - umieszczoną teorię ewolucji prześledziłeś/aś wzrokiem, czy naprawdę starałeś/aś się ją zrozumieć? No właśnie. Jedni tak, drudzy nie i jest to normalne, bo każdego interesuje co innego. Nie należy więc winić reżysera za taki wybór.

Mimo ciężkiej pracy, Charles poświęca każdą wolną chwilę swoim dzieciom. Szczególną miłością otacza swoją dziesięcioletnią córkę Annie. Opowiada jej różne historie, w których „przemyca” naukowe obserwacje. Dzieli się z nią również swoją wiedzą, a ona coraz bardziej zaczyna podzielać pasję ojca do przyrody. Ich relacja była w filmie mocno zaakcentowana, ponieważ Annie chorowała, co przysporzyło rodzicom wiele cierpienia.

Wszyscy wiemy, że wygłoszenie swojego zdania, które jest inne niż u większości osób nie zawsze jest łatwe, ponieważ narażamy się wówczas na ocenę, a czasem krytykę. Dlatego też

Darwin wahał się, czy powinien upublicznić swoje dzieło „*O powstawaniu gatunków*”. Jego żona- bardzo wierząca i praktykująca kobieta nie do końca popierała ten pomysł. Martwiła się o jego sumienie i uważała, że to, czego dowodzi jest niemoralne. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem ich filmowej relacji. Ich poglądy są tak różne, a mimo to tworzą wspaniałe małżeństwo i zawsze potrafią znaleźć złoty środek w konflikcie.

Ciekawym wątkiem biograficznym jest to, że Emma to kuzynka Charlesa, co również było wspomniane w filmie. Bardzo pięknym i romantycznym gestem był dla mnie moment, w którym Charles w rozmowie z żoną, po wielu ciężkich chwilach zastanawiał się, czy powinni byli brać ślub. Czy fakt, że są ze sobą spokrewnieni nie wpłynął negatywnie na rodzinę. Żona odpowiedziała mu wtedy: „Wyszłabym za ciebie choćby i jutro”, co jest dla mnie przykładem niezwykle oddania i wielkiej miłości, która ich łączy.

Jeśli miałabym podzielić film na dwie części, to pierwsza była zdecydowanie mniej atrakcyjna. Mogłabym powiedzieć, że tworzy podłoże do rozwinięcia drugiej części, która jest dużo bardziej emocjonalna. Na początku seansu byłam więc trochę rozczarowana. Być może dlatego, że spodziewałam się czegoś innego, jednak potem to się zmieniło. Ostatnie minuty były piękne i nadały charakter całemu filmowi.

Według mnie, dobry film można poznać po tym, czy po skończeniu towarzyszą nam jakieś emocje, czy podejmujemy jakąś refleksję. Annie poruszyła jakąś część mojego wnętrza i muszę przyznać, że przed zaśnięciem długo o niej myślałam.

Patrząc na tytuł przed oglądaniem, słowo ewolucja kojarzyło mi się jedynie z nauką, zmianami w organizmach, jednak po wszystkim przybrało ono jeszcze inne znaczenie, które odnosi się do ewolucji w naszych poglądach, postawach, czy spojrzeniu na kwestie wiary.

„Darwin. Miłość i ewolucja” to film, na którego nie żałujcie czasu. Może nie pozostaje w pamięci na całe życie, ale na pewno zmusza do refleksji i jest ciekawym przeżyciem.



Oprac. Natalia Bożek

Jak kamień odrzucony przez budowniczych...

W dzisiejszym artykule pragnę przybliżyć historię z życia mojego stryja Jan Wójcika (brat dziadka), będącą jego udziałem, a która odeszła w niepamięć wraz z jego śmiercią. Może inaczej – trwa tylko w mojej pamięci.

Dziesięć lat miał chłopiec, gdy rodzice postanowili oddać go do wujostwa. W domu przybywało dzieci i coraz trudniej było choćby o kawałek chleba. W Sierakowie, u wujostwa Baków, brakowało rąk do pracy. Ci potomstwa nie jeszcze mieli, dlatego chłopiec zdolny pasać bydło lub konie, był jak dar z niebios.

Słowo ciałem się stało. Pasał Jaś krowy i owce. Doglądał koni i świń, a także pomagał wujostwu w różnych pracach domowych. Jego ulubionym zajęciem było mycie koni w Tanwi. Te zapędzał w nurt rzeczny, obmywając je z potu, łajna i brudu. Ważna też była własna przyjemność, czerpana z ożywczej oraz wzmacniającej kąpieli. Wjeżdżał w błękitna toń wierzchem, małymi nóżkami próbując spaść opasły grzbiet zwierzęcia. Te instynktownie wyczuwały jego zamiary i ochoczo wchodziły w leniwy bieg rzeki.

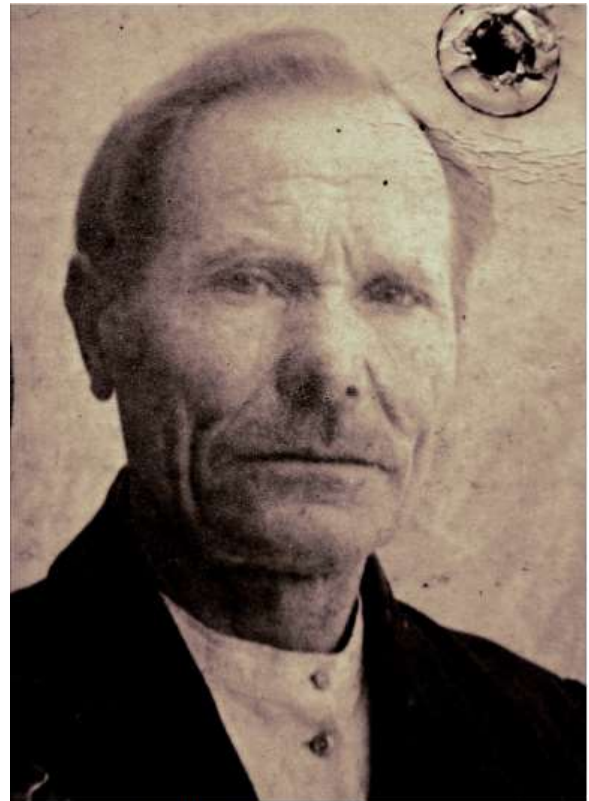
Mały chłopiec i konie. Dziś obraz niespotykany i trudny do wyobrażenia. A jednak tak było. Człowiek i zwierzę tworzyli jedno. Razem żyli i razem pracowali. Byli na siebie skazani od urodzenia, aż po dni ostatnie. Pan i sługa. Jak bracia mniejsi od biedy i głodu chroniący. Dlatego nikt nie dziwił się, że pod jednym dachem żyli ludzie oraz zwierzęta. Wspólnie dzieląc dole oraz niedole losu, a niekiedy również izbę i strawę. To do stajenki noszono potrawy wigilijne i łamano się opłatkiem, prosząc przy tym Boga o pomyślność oraz pomoc na następne lata.

Koń i chłopiec. Dwie przeciwstawne istoty. Kruchosc oraz siła. Bezbronność i moc. Jak połączenie ognia i wody. Niemożliwe? Nic bardziej błędnego, co osobiście mogę zaświadczyć, pamięcią powracając daleko za siebie. Co widzę? Chłopca, kruszynę ledwo, co trzy wołki pasie między zboża rozmaite. Po lewej żyto, po prawej gryka miodem pachnąca, w środku on i bydłatka posłuszne, jakby moczem był, a nie nie istotą maleńką. Kim jest ten chłopiec? Czy znam go? Znam...

Dziś, gdy patrzę na dzieciątka lat tyle mające, to na wspomnienie tamtego czasu, dreszcze czuję na plecach. Czy odważny byłem? Nie! Raczej nieświadomy. To bydłatka były pokorne. Od ludzi zależne i z ludźmi żyjące. Jak bracia mniejsi; posłuszne i oddane.

Był ciepły letni dzień, gdy wydarzyło się coś, co wydarzyć się mogło, ale skutki tego były niepomierne do zdarzenia. W tymże to dniu koń zgubił swój mały żywy bagaż. Nie po raz pierwszy spadł Jasio ze zwierzęcia, ale tym razem bardzo niefortunnie. Bowiem siły upadku nie wytrzymała chuda rączka dziecięcia.

Ze strachem, co ból skutecznie głużył, ruszył malec do wujostwa prosząc o pomoc. Ci opuchłą kończynę natarli spirytusem, a owinawszy w chusty, usztywnili drypkami. Całość, dla pewności, skrzepowano sznurem, mocno zaciskając supły. Za mocno! Popelniono



Jan Wójcik 1885-1982

elementarny błąd. Niewybaczalny w takich przypadkach. Wstrzymano swobodny przepływ krwi na całej długości przedramienia.

Tak po latach tak wspominał Jan; *Nic by mi nie było, gdyby nie wysmarowano ręki spirytusem. On mi ją spalił i ususzył. Bolało? Samo uschnięcie nie. Bolało, gdy odpadła.*

Słowo sprostowania; Dziś wiemy, że to nie spirytus był sprawcą nieszczęścia, ale nieumiejętnie założony stelaż i opatrunek przyczyniły się do tego. Po drugie; rączka nie odpadła, ale ją amputowano. Słowa te padły z ust Jana po osiemdziesięciu latach od owego zdarzenia i siłą rzeczy zawierały subiektywny obraz tamtych dni i tamtych wydarzeń.

Trudno określić kiedy zorientowano się, że coś niedobrego dzieje się z przedramieniem chłopca. Pewnie po paru dniach, w czasie, gdy ruszył proces rozpadu tkanek. Jeżeli można winić Bąków za niewłaściwe opatrzenie rączki, to równocześnie należy oddać szacunek za bystrość umysłu i trafne decyzje. Nie zlekceważono zagrożenia, nie zdano się na ślepy los. I wreszcie - nie odesłano dzieciątka do Jasiennika. Śmiało można powiedzieć, że taka postawa wujostwa uratowała chłopcu życie. Zdecydowano bowiem aby udać się za granicę do leżącego po austriackiej stronie Ulanowa, gdzie urzędował wojskowy lekarz, w którego pomocy upatrywano szansy na ratunek. Ulanów? Dlaczego nie Biłgoraj?

Po pierwsze; odległość. Do Ulanowa było bliżej. Po wtóre; medycyna zaborze austriackim stała na wyższym poziomie i pewnie to zaważyło, że zdecydowano się na nielegalne przekroczenie granicy. Nie było to trudne, jako że jej ochrona pozostawała wiele do życzenia. A może przekroczone kordon legalnie? Może patrol graniczny widząc cierpiącego chłopca, zezwolił na dalszą jazdę? Możliwe. Dodam tylko, że najbliższa stacja znajdowała się w Goździe Huciańskim, a materiał z jej późniejszej rozbiórki posłużył do budowy szkoły w Hucisku.

Wyjazd. Józef, wymościwszy słomą furmankę, dopiął konia. Tego samego, który był przyczyną nieszczęścia sprzed kilku dni. Marianna, dziecię owinąwszy w chusty, zasiadła na koźle przy mężu, pod pachą ściskając niewielkie zawiniątko. W nim trochę grosza na ratowanie chłopca. Postawa Bąków poruszyła moje serce. Należy obiektywnie przyznać, że ci zachowali się bardzo dobrze. Przyzwoicie oraz odpowiedzialnie. Prawdziwie po chrześcijańsku. Niejeden na ich miejscu postąpiłby odwrotnie. Oddając dziecko rodzicom, pozbyłby się zmartwienia i problemu, co w tym konkretnym przypadku równałoby się wyrokowi śmierci.

Wyruszono świtem. Pół mili za Sierakowem przekroczyli Bąkowie kordon graniczny kierując się ku opłotkom Dąbrowicy. Droga wiała się między przykurczone chałupki. Skromne chatynki kryte słomą o niskich drzwiach i nienaturalnie wysokich progach. Miejscowość sprawiała wrażenie wymarłej. Tylko pojedyncze ujadanie psów oraz cichy pomruk bydła świadczyły o trwaniu życia. Jedynie od czasu do czasu uchylały się nieśmiało drzwi lub drgnęła firanka w małym, sadzą okopconym okienku.

Przejazd zaprzęgu o tej porze dnia nie był wydarzeniem nadzwyczajnym, dlatego zdążyli już dąbrowiczanie przywyknąć do porannych gości. Granica utrudniała, ale nie zerwała kontaktów. Więcej! Stała się swoistym katalizatorem spajającym obie miejscowości. Nielegalny handel i kontrabanda sprawiały, że relacje między obiema wioskami były więcej niż towarzyskie. Nie było tutaj gościńca czy dróg planowych, ale były te ważniejsze, kreślone w sercach i umysłach ludzkich. Wyznaczane potrzebą ducha i ciała.

Pisząc te słowa słyszę drwiący chichot historii. Nastał piękny czas. Czas zmartwychwstania Rzeczypospolitej. Nie ma już kordonów. Nie ma granic. I nie ma też drogi. Sto lat minęło. Wyrosły nowe pokolenia. I tylko drogi wciąż brak. Chociaż nie... Istnieje! A jakże. I status ma znaczny - wojewódzki. Ma też numer i kreskę na mapie. I nic ponadto... Przepraszam. Jest trakt polny. Piaszczysty, wspaniały – aż dumny! Taki sam, a może ten sam, którym Jan podążał sto dwadzieścia lat wcześniej. Spyta ktoś; Jaka odległość dzieli wsie sąsiednie? Znaczna. Dwa kilometry, a może i mniej!

Podciął Józef konia, a ten nieznacznie przyspieszył kroku. Wieś pozostawała w tyle, a przed nimi nic więcej nad piach kopny i sosny szumiące. Jechali w milczeniu czas jakiś, aż w porannej mgle ukazały się pojedyncze chaty przedmieść Ulanowskich. Miasteczka po austriackiej już stronie granicy. To było mniej niż liche i gdyby nie znaczna diaspora żydowska, nie byłoby większe od średniej wielkości wsi galicyjskiej. Położony był przy ujściu Tanwi do Sanu - w widłach dwóch wód. Wód z których żył i korzystał, ale które też go ograniczony. Takie położenie stwarzało dogodne warunki do rozwoju flisactwa, niemniej hamowało rozwój i dostęp do zdobyczy cywilizacji. O kolei żelaznej można było zapomnieć. Tą poprowadzono po drugiej stronie Sanu, mimowolnie przyczyniając się do powolnego, acz stałego upadku miasteczka.

Rynek ulanowski miał kształt sporego kwadratu o bokach prawie idealnych. Po wszystkich jego stronach przysiadły liczne chaty o małych oknach i nienaturalnie wysokich dachach. Po wschodniej i północnej jego bokach stało parę solidnych kamienic należących do rodzin żydowskich sklepikarzy. Wśród nich jedna, wyróżniająca z ozdobnym frontonem i pięknie kutym balkonem. Pamiętająca jeszcze czasy księcia Józefa Poniatowskiego, który przebywał tu w czasie zmagania wojennych 1809 roku. Stąd dowodził oblężeniem Zamościa i licznymi „bitewkami” z wojskami austriackiego zaborcy. Dom ten, choć podupadły, trwa po dzień dzisiejszy. Do ostatniej wojny należał do bogatej rodziny żydowskiej, która w czas okupacji niemieckiej poniosła śmierć w komorach gazowych Bełżca.

Sam rynek nie różnił się wiele od krzeszowskiego. Pokryty gliniastą ulepą, w czas deszczy oraz szarug jesiennych zmieniał się w błotnistą breję, trudną do przebycia nawet dla końskich zaprzęgów. Przy tym, miejscowa ludność, nie zważając na przybyłych gości, wszystkie nieczystości i pomyje wylewała wprost pod nogi zwierząt i ludzi. Nie muszę tłumaczyć jakie etera unosiły się nad placem. Smród błota mieszał się z wonią pomyji i odchodów zwierzęcych. Wszystko to, doprawione ostrym aromatem czosnku i cebuli, tworzyło niepowtarzalny oraz jedyny w swoim rodzaju klimat galicyjskich miasteczek.

W zachodniej części, przy ratuszu, urzędował miejscowy lekarz. Raczej felczer, który więcej potrzebny był żołnierzom licznych straży granicznych, niż miejscowej ludności. Jakiej był narodowości? Nie wiem. Może Polakiem, ale równie dobrze Austriakiem czy Węgrem. Nieważne! Ważne, że wyśmienicie wywiązał się ze swoich obowiązków, tym samym ratując życie młodego człowieka.

Co zapamiętał Jasio z tamtego czasu? Niewiele. W zasadzie nic poza strachem i bólem. Mawiał po latach; *Najmocniej bolało, gdy ręka odpadła. Wcześniej nic nie czułem.* Jak wyglądał zabieg? Czy można go odtworzyć, choćby w myślach? Pewnie tak, ale trzeba mieć wielką wyobraźnię. Czy był znieczulany? Znano już chloroform, więc należy uznać, że tak. Operacja udała się i odjęto przedramię bez większych problemów czy powikłań, niemniej najgorsze było jeszcze przed Jasiem. Nie było środków przeciwbólowych, opatrunków i antybiotyków, dlatego obawiano się powtórnego zakażenia, które niechybnie prowadziłoby do śmierci.

Jest takie porzekadło, które mówi, że co ma wisieć, nie utonie! Tak było też z Jasiem. Nie wdało się zakażenie, a rana goiła się nadszpiewanie szybko. Dziś z perspektywy lat mogę powiedzieć, że wielką wolą życia i dużym hartem ducha wykazał się Jan. Żył bowiem dziewięćdziesiąt siedem lat, przy tym los nie szczędził mu zmartwień, oraz na różne sposoby doświadczał.

Dzień chylił się ku zachodowi, gdy powrócono do Sierakowa. Nastała noc. Najdłuższa noc w życiu chłopca. Ból, ciągły i uporczywy, nie pozwalał na zmrużenie oczu, głowę zaś wypełniały najczarniejsze myśli i obawy. Co powiedzą rodzice? Jak go przyjmą? Najmocniej bał się reakcji ojca. Nie spodziewał się od niego współczucia, czy choćby słowa pociechy. Wręcz przeciwnie. Znał naturę taty. Wiedział, że ten jest nerwusem i raptusem. Cała nadzieja pozostawała w mamie.

Nastał poranek, ale ten nie przynosił ukojenia. Ból nie ustępował, zmieniał tylko natężenie. Słabł, by po chwili powrócić z zwielokrotnioną siłą. Słabość pokryła lica chłopięce, a błękitne dotąd oczy zasnuła mgła przerażenia. Bał się. Bardzo się bał. Uświadamiał sobie kruchość własnego losu. Był słaby, bardzo słaby i zdało mu się, że dni i godziny życia ma już policzone. A tak bardzo chciał żyć! Może to tylko sen? Może obudzi się i będzie jak kiedyś. Znów pobiegnie za bydłem oraz pogoni konie na trawy i łąki zielone. Jednak teraz będzie mądrzejszy, będzie uważał. Przemykał oczka i z wolna unosił powieki. Myśli zaklinał, Boga prosząc o odmianę. I tylko ten ból...

Jasiu wstawaj. Zbieraj się. Jedziemy na Jasiennik! Słowa te, płynące jakby z zaświatów, wyrwały chłopca z sennego letargu. Wstał, a raczej zerwał się nogi jak wystraszone zwierze. Przeszedł parę kroków i stanął twarzą w twarz z drzwiami. Kiedyś ich nie zauważał. Teraz stały mu się barierą nie do przejścia. Stał tak przez chwilę, nie wiedząc co począć. Cofnął się pół kroku i wyciągnął rączkę, tą zdrową. Ciotka widząc zakłopotanie chłopca, nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły, a oczom jego ukazał się piękny, letni poranek, skąpany słońcem i napełniony szczebiotem ptaków. Czuł jakby wstępował w nową, lepszą krainę.

Ruszyli ku przeznaczeniu; Koń człapał równo, od czasu do czasu poganiany tylko przez woźnicę. Jaś siedział w bezruchu. Zrezygnowany trwał w apatii i odrętwieniu. Strach, ból i cierpienie pozbawiły go resztek sił. Zdrzemnął się chwilę, a do jego uszu docierały strzępy słów wujostwa. Nie był nimi zainteresowany. Osłabiony i zmęczony marzył aby zapaść w głęboki ożywczy sen. Ten przyszedł na zawołanie i legł na ciężkich powiekach chłopca. Spał... Zdawało mu się, że śpił tylko chwilę, minetek parę. Dlatego zdziwiony był, gdy rozbudzony ujrzał zabudowania Jasiennika. W jednej chwili wszystko przepadło, pękło jak bańka mydlana, a strach oraz przerażenie strząsnęły małym serduszkem dzieciątka.

Dom, rodzinny dom. Ten sam, do którego kiedyś mocno tęsknił, był teraz na wyciągnięcie ręki. Ale dzisiaj bał się wstąpić w jego ciepłe progi. Obawiał się taty. Znał jego porywczy charakter. Wiedział, że to nerwus i raptus. Szczęśliwie nie jest sam. Są wujek i ciocia. Oni wszystko wyjaśnią. Wezmą w obronę i nie pozwolą skrzywdzić...

Pierwszych chwil spotkania z rodzicami nie pamiętał. Dopiero po paru dniach począł rozpatrywać w pamięci co zaszło. Może to i lepiej, gdyż jak najszybciej należałoby o tym zapomnieć. Co takiego wtedy zaszło, że echo tych wydarzeń przetrwało dziesiątki lat? Działo się! Oj dużo się działo! I opisanie wymaga.

Słusznie obawiał się Jaś reakcji ojca. Ten zaślepiony gniewem, całą nienawiść oraz agresję skierował ku chłopcu. Na małą główkę dzieciątka spadł grad przekleństw i obelg najgorszych. Zdawało się, że to on jest główną i jedyną przyczyną wszystkich niepowodzeń. Tych małych i tych wielkich. Tych byłych i tych, co nastąpić miały. Najmniejszy promyk rozsądku, czy okruszek współczucia, nie docierał do gorącej głowy Franciszka. Zaślepiony w porywczym amoku nie reagował na prośby najbliższych, które jeszcze mocniej podsycaly jego agresję oraz wściekłość. Zdawało się, że szatan opanował duszę i ciało mężczyzny. Oliwy do ognia dolały słowa Marianny, dotąd cichej i uległej. Teraz stając w obronie syna, słowami skierowanymi więcej do siebie niż do męża mówiła; Jakoś to będzie, trzeba się z tym pogodzić...

- Co będzie? Nic nie będzie! Po co nam taka kaleka? Mało to dzieci w domu? Pożytku z niego nie uświadczysz, tylko gęba do żywienia. Lepiej niech umiera, niż ma żyć takowy!

Rozdygotany i blady od nerwów, wyrwał dziecię z rąk matki, a rozejrzawszy się, podbiegł ku stodole. Tam cisnął chłopca na snop słomy. Wzrok mętny i straszny ku żonie kierując, głosem nie swoim zawołał;

Masz go nie ruszać! Niech zdycha! Nie jest nam potrzebny. Nic z niego nie będzie!

Mieczem okrutnym przebiły te słowa serce matczyne. Stała bezsilna, ale nie bez woli. Znała charakter i wybuchowość męża. Wiedziała, że tu i teraz zaradzić nic nie zdoła. Należało czekać...

Nastała noc. Kolejna długa noc w krótkim życiu Jasia. Umęczone ciało chłopca trwało w bezruchu, za posłanie mając snop słomiany. Nie płakał. Godził się z losem. Wypadki dzisiejszego dnia doszczętnie pozbawiły go mocy i siły. Wzdrygnął się tylko na odgłos skrzypnięcia drzwi. Głowy nie odwracał. Zdawało mu się, że to wiatr porusza obluzowanymi deski. Dopiero delikatny odgłos kroków sprawił, że podniosły się powieki nieszczęśnika. W ciemności i strachu dostrzegł jakąś postać. Coś na kształt mary lub zjawy. Twarzy nie widział, ale instynktownie czuł, że nic mu nie grozi. Postać zbliżała się z wolna, by zatrzymać się na wyciągnięcie ramion. Zapadła niemoc i cały świat się zatrzymał. Ucichły świerszcze i nocne ptaki zamilkły. Cisza. Wielka cisza. Wydawało się, że ta trwa wieki. *Jasiu śpisz? Syneczku!* Tych słów i tego głosu nie zapomina się do końca życia. To słowa mamy. Wyszeptane ledwie, lecz dla niego miały moc dzwonów potężnych. Nic nie mówił. Głos utknął mu w gardle a łzy płynęły po gorejących licach. Płakał. Stać go było tylko na szloch. *Jasiu, dziecino moja. Nie bój się! Jestem przy tobie i nie dam ci krzywdy uczynić.* Na te słowa, słowa najśodsze, czuł ucisk w gardle, a łzy, jedna po drugiej, kapały na żdźbła pomięte. Poczł dłóń szorstką, acz ciepłą, a dreszcz emocji wstrząsnął wątłym ciałem chłopca. Marianna pochyliła się nad nieszczęśnikiem chcąc ująć go w ramiona, a widząc, że ten wzdryga się w niepewności, szeptała spokojnie; *Nie bój się. Ojciec śpi. Pójdziemy do domu.* Ufał jej. Zawsze jej ufał. Do końca i bezgranicznie...

Nie pamiętał jak spał długo. Ocknął się, gdy dzień był już wysoki a oczom jego ukazała się Bierzma powałowa, wapnem wprawdzie pobielona, ale mocno już poczerniała. Był w domu. U siebie. Było cicho, bardzo cicho. Przeraził się tą odmiennością, dlatego nerwowo omiatał oczyma całą dostępną przestrzeń. Szukał przyczyny owej nienaturalności. Na chwilę wzrok obrócił i znieruchomiał strwożony strwożony. Ujrzał znajomą postać. Ojciec! Byli sami. On i jego rodzic. Ten, okraciem siedząc na ławie, plecami wspierał się o róg pieca. Pograżony w myślach nie zwrócił uwagi na otwarte oczy dziecięcia. Z odrętwienia wyrwało go dopiero skrzypnięcie łoża. Powoli wzrok unosząc, napotkał spojrzenie Jasia. Trwało to tylko chwilę, jednak niewidoczna siła sprawiała, że oczu od siebie oderwać nie mogli. Była to najdłuższa rozmowa w ich życiu. Rozmowa, jaką tylko syn z ojcem, i ojciec z synem, przeprowadzić mogli. Bez słów i gestów, bez wyrzutów i pretensji W głębokim milczeniu przebaczyli sobie nawzajem. Na teraz i na zawsze!

Myliłby się ten, kto uważa, że życie Jasia było sielanką. Żył normalnie, jeżeli o normalności można tu mówić. Wygrał swoją przyszłość. Porażkę i kalectwo przekuwając w sukces oraz zwycięstwo. A upór i determinacja, dwie cechy charakteru, którymi Bóg go obdarzył, sprawiły, że wygrał życie. Los bywa przewrotnym i nieprzewidywalne są zamiary stwórcy. Skazani na sukces doświadczają klęski. A głąz przez ludzi odrzucony, staje się kamieniem węgielnym. Proszę spojrzeć na życie Jana. Ci, co znają jego losy wiedzą, co mam na myśli. Skazany na zatrącenie i wyklęty przez ojca, odradza się jak Feniks z popiołów. Bóg nazywając go piętnem kaleki, namaszcza go jednocześnie. Ten, któremu śmierć pisana była za młodu, dożywa lat platynowych. Wiek złoty prowadzi go stwórca po ziemi i licznym obdarza potomstwem. A iluż to roślých i pięknych młodzieńców upadło u progu życia, czy przy bramie świata. A ten, który był przez ludzi zostął utracony, z woli Boga stał się szczepem szlachetnym. Złoto oczyszcza się w ogniu, a człowiek? Módl się i pracuj, pracuj i módl się! A gdy cię los doświadczą, módl się mocniej i pracuj więcej! Czy tych słów nie

można uznać za motto życiowe Jana? Pewnie tak, aczkolwiek on sam się nad tym nie zastanawiał. Odrzucony przez ojca i wyklęty w słowa okrutne, podnosi się i wybacz, zaś Bóg pisze mu nowe zadania. Spośród licznych rodzeństwa, to Jan przejmie gospodarstwo po rodzicach. A gdy ci ziemskiego dobiegną kresu, złoży ich ciała w uświęconej ziemi. Jak kamień odrzucony przez budowniczych...

Ile lat prowadził Stwórca Jana po ziemskich drogach życia? Dziewięćdziesiąt i siedem!

Andrzej Wójcik

SPOD PIÓRA

SKŁADAK

Obudziłem się w samym środku nocy. Całości męczącego snu nie mogłem sobie przypomnieć, ale końcówka dobrze utkwiała mi w pamięci. Był niedzielny wieczór i nie chcieli mnie wpuścić do sferyczno-panoramicznego kina na pokaz najnowszej hollywoodzkiej produkcji. Powodem był wykryty przy wejściu brak aktualnego przeglądu biotechnicznego. Na nic się nie zdały moje tłumaczenia, że termin minął zaledwie dwa dni temu i że czuję się wspaniale. Manager kina był nieugięty. Argumentował, że nie wolno mu ryzykować, zwłaszcza po serii procesów, które sporo kosztowały właścicieli kin oraz innych przybytków publicznej rozrywki. Faktycznie, ostatnio przez kraj przewaliła się cała fala wyroków i odszkodowań dla widzów, którym podczas zaawansowanych technologicznie multimedialnych spektakli cała ta show-technika narobiła szkód w ich bionicznych układach.

Fakt również, że zaniedbałem się nieco ostatnio i przegapiłem ten cholerny przegląd. Może nawet dobrze, że ten sen mnie wystraszył, bo postanowiłem niezwłocznie uzupełnić zaległość i zdobyć aktualny wpis do chipa. Bez tego przeglądu czekałyby mnie niedługo kolejne kłopoty. Nie przedłużą mi prawa jazdy, wstrzymają rentę technologiczną, nie mówiąc już o ewentualnej odmowie wykonywania połączeń telefonii satelitarnej. I tak dobrze, że nie jestem przestępcą na warunkowym zwolnieniu. Większość skazanych, po zgodzie na wszczęcie blokady agresywności, poddana jest kwartalnej, obowiązkowej wymianie baterii, i to najpóźniej na tydzień przed upływem terminu. Inaczej zostaną namierzeni, ukarani dużą grzywną i na powrót wpakowani do pudła. A tam już nie ma zmiłuj. Kontrola agresywności jest tylko iluzją, bo skazańcy potrafią się wymieniać nie tylko chipami, ale i też całymi wszczepionymi dość głęboko gniazdami, za nic mając własne bezpieczeństwo przy tak ryzykownych i amatorsko wykonywanych operacjach.

No cóż, decyzja podjęta, więc następnego dnia przed południem udałem się do centrum diagnostycznego. Nawiasem mówiąc, paskudne to miejsce. Na każdym kroku przypomina człowiekowi o tym, kim właściwie jest, co w przypiływie gorszego nastroju zamienia się na „czym”. Oczywiście, nie każdy go tak nie lubi, bo całkiem zdrowi, czyli jak się o nich mówi – oryginały, nie muszą tam chodzić. Ale ilu ich tak naprawdę zostało? Osobiście znam może z dziesięciu, którzy są czyści i nie noszą wtyczki pod pachą. Tych nie wykrywają żadne mierniki przy wejściach i nowoczesna technika nie zagraża ich wszczepionym układom scalonym. Ale że nadal nic nie ma za darmo, z drugiej strony nie mają szans wejść w swoją drugą wiekową setkę. Czyli wnukami to się jeszcze może nacieszą, ale o prawnukach w większości mogą tylko pomarzyć. Nie ma siły. Z tego powodu coraz więcej ostatnio

zdarza się przypadków, że składakami decydują się zostać całkiem jeszcze zdrowi ludzie. Warunek to forsa, bo o refundacji z ZUS-u w takim przypadku nie ma mowy. Dopłaty są tylko na zaświadczenia stwierdzające co najmniej pięćdziesięcioprocentowe zużycie osobnika. Zaś całkiem darmo to dopiero od dziewięćdziesięciu procent zużycia, i to też nie na wszystko. Eh!

Tak więc dotarłszy do centrum musiałem uzbroić się w cierpliwość, bo zawsze tam pełno. No i nie dziwota; czasy paskudne, zanieczyszczenie jak diabli, do wszechogarniającej chemii ludzkość się jeszcze nie zdążyła przystosować. A że prawie wszystko już umieją przeszczepiać albo zastępować sztucznym, to i klientów nie brakuje. Jak zwykle, biznes technologiczny i biologiczny się skumały z państwem, w związku z czym więcej teraz pieniędzy na elektronikę i mechanikę niż na badania i lekarstwa. Jakiemu lekarzowi chce się leczyć, skoro łatwiej i szybciej złożyć zamówienie na nową kość, staw, serce, stopę czy nawet oko. Mała kamerka i po krzyku, tak jak miniaturowy mikrofonik zastępuje ucho, co powoduje, że na starość słyszysz lepiej niż młody Winnetou w najlepszej formie.

Kiedy wreszcie nadeszła moja kolej, jak zwykle najpierw parę formalności i podpis na formularzu. Tyle dobrego, że nie muszę nosić ze sobą żadnych zaświadczeń. Wszystko odpowiednio zapisane na chipie. W końcu wprowadzili mnie do indywidualnej kabiny, zdjąłem sweter i koszulę i siadłem sobie wygodnie na fotelu. Zazwyczaj w moim przypadku wystarczała jedna osoba do obsługi. Pielęgniarka, czy jak ją tam nazwać – może coś w rodzaju elektro-asystentki - na oko trzydziestoletnia kobieta, kazała mi podnieść prawą rękę do góry, aby odsłonić dostęp do chipa, który jak u większości, miałem wszczepiony pod pachą. Zamoczyła gazik w jakimś płynie, potarła mnie tam i po kilkunastu sekundach niewielki płatek skóry zaczął się odklejać. Odgięła go i umocowała nieco wyżej za pomocą małego przylepca. Ukazała się plastikowa złączka, do której zaraz przyłączyła srebrną końcówkę przewodów biegnących do komputera. Moje „wyposażenie” miało już ładnych parę latek, podczas gdy nowsze nie wymagają bezpośredniego kontaktu i komunikują się bezprzewodowo. Coś jak blue tooth w telefonie. Mnie na razie nie stać było na taki luksus.

- Co my u pana mamy? – zapytała łagodnym głosem, choć zaraz i tak odczytałaby dane na monitorze. Może chciała być uprzejma, albo był to po prostu jeszcze ludzki, zawodowy odruch.

Nie musiałem odpowiadać, ale być może z tych samych powodów odezwałem się:

- Ciągle to samo. To znaczy nowe prawe ucho, lewe kolano i dwa metry jelita.

Te dwa ostatnie to pamiątka po wypadku autolotowym. Zachciało mi się kiedyś pobawić w Ikara i wypożyczyłem na tydzień to ustrojstwo. Na amatorskim lotnisku autolotowym miałem, jak każdy, wyznaczony swój korytarz i teoretycznie nic nie miało się prawa wydarzyć. A jednak się wydarzyło. Jakiś panel w centralnej sterowni auto-lotniska szlag trafił i nagle we trzech znaleźliśmy się na jednym torze. Ten najstarszy miał najmniej szczęścia i nie przeżył, bo zbyt dużo czasu minęło, zanim go wydostali ze szczątków. Drugi dostał nową nogę i chyba nerkę.

- No i jak do tej pory? – zapytała ponownie, nastawiając parametry diagnostycznego komputera.

- Generalnie nie narzekam. Może tylko pani sprawdzi nastawienie ucha. Bo czuję tak, jakbym ostatnio słyszał więcej szumu, ale może mi się tylko wydaje.

- Zaraz sprawdzimy – uśmiechnęła się równie pięknie jak i nieoczekiwanie.

Delikatnie podłączyła mnie do maszyny i zaczęła pstrykać klawiszami. Ze swego miejsca nie widziałem ekranu, ale ona uważnie mu się przyglądała.

- Tak, rzeczywiście trochę się góra rozbudowała. To znaczy wysokie tony, wie pan, te od szumu właśnie. Ale zaraz skorygujemy i będzie jak wcześniej – mówiła nie patrząc na mnie. – Jelito działa, ale wychodzi mi tutaj, żeby pan ograniczył nieco kwaśne potrawy. Jada pan coś takiego?

- No ... jadam – rzekłem zgodnie z prawdą. Wiedziałem, że łągarstwo i tak wyjdzie na jaw, a poza tym się nie opłaca. Komu jak komu, ale chyba mnie samemu najbardziej zależeć powinno na niezakłóconej eksploatacji.

- Później wydrukuję panu spis tego, co program odradza. No a teraz zobaczmy co z kolankiem. Yhm ... – zamilkła i pokiwała głową.

- I jak? – zapytałem, gdy milczenie się przedłużało.

- Niech pan parę razy zegnij nogę.

- Przepraszam, a w którą stronę? – i oboje uśmialiśmy się z tego prawie zapomnianego już dowcipu, jeszcze z początków biotechnologicznej rewolucji.

W końcu uczyniłem jak poleciła. Później musiałem jeszcze zrobić kilka przysiadów i podskoków, które jak zauważyłem kątem oka, za każdym razem wywoływały wyraźne reakcje różnych linii i okręgów na ekranie monitora.

- No tak – spojrzała wreszcie na mnie. – Już lekko przechodzone, ale jeszcze w normie.

- A tak dokładniej, to ... – zawiesiłem głos, nie wiedząc jak dokończyć.

- Nie, nie – odparła siadając naprzeciwko na krześle. – Nie ma się czym martwić. I tak zresztą nie przypuszczam, aby pan uprawiał szybkie biegi, albo ekstremalne sporty, co?

- Raczej nie.

- I tak trzymać. Parę sezonów jeszcze pociągnie. Będziemy musieli tylko nakłuć skórę i wstrzyknąć trochę biosmaru. Ooo... – wyrwało jej się nieoczekiwanie, gdy dalej analizowała obraz na ekranie. – Będzie trzeba też wymienić baterię w chipie. Możliwe, że z tym uchem to właśnie dlatego.

- Uuu ... – z kolei i mnie się wyrwało. Wymiana baterii to grzebanie w chipie.

- To niewielki kłopot – rzekła uspokajająco. – Wszystko potrwa najwyżej pół godzinki. Rano jeden to dopiero miał przechłapanie. Spędzi u nas kilka godzin.

- Co takiego strasznego? – zapytałem, gdy zajęła się wystukiwaniem czegoś na klawiaturze.

- Ma stymulator w mózgu i chyba znalazł się w takim miejscu, gdzie nie powinien. Podejrzewamy, że wlaźł do jakiejś transformatorni, czy czegoś podobnego, ale się nie przyznaje. W każdym razie pokręciło mu równo.

- Ale co, nie może myśleć?

- Nie, tak źle nie jest – potrząsnęła przecząco kasztanową czupryną – To tylko proteza w zakresie smaku i powonienia. Przyszedł, gdy okazało się, że nie odróżnia cukru od soli ani wucetu od, powiedzmy, perfumerii.

- Ładne mi tylko – powiedziałem do siebie. Usłyszała, gdyż mówiła dalej:

- Tylko, tylko – proszę pana. – Niektórzy po implantach to uczą się od początku drogi do domu i imion swoich krewnych.

- Jezu! I to są jeszcze ludzie? Czy wy już nie przesadzacie?

- My? Przecież nie ma obowiązku. Każdy sam wybiera. Czy ktoś komuś każe żyć dwa razy dłużej?

- Jeszcze by tego brakowało. No a pani sama, to co robi kiedyś?

- Nie wiem, ale technika na pewno będzie coraz lepsza i bezpieczniejsza, więc nie widzę problemu.

- Wie pani, te kolana, serca i uszy to jeszcze rozumiem. Ale w mózgu to bym już sobie nie dał mieszać. I co, jak ktoś się pechowo uderzy i straci pamięć, to mu nową wszczepicie? Jak tamtemu smak i węch? To będzie ten sam człowiek?

- Ale przynajmniej żyje. A co, pan narzeka, że jest pan takim ... – zawiesiła głos, nie wiedząc jak zakończyć.

- Składakiem, co? – pomogłem jej. Wiedziałem, że służbie zdrowia nie wolno tak oficjalnie nazywać pacjentów.

- No, nieważne – odzyskała głos.

Zadzwoniła gdzieś i po chwili przyszedł do gabinetu młodszy od niej chłopak w niebieskim kitlu. Rozpakował niewielki pojemnik, wyjął jakieś urządzenie i kazał mi odsłonić kolano. Sprawdził coś w komputerze, podczas gdy asystentka psiknęła środkiem znieczulającym. Nic nie poczułem, kiedy aparacik dotknął mojego lewego kolana na kilkanaście sekund. Słyszałem coś o tych wstrzykiwanych w stawy plazmo-jonach i pewnie to mi właśnie zaaplikowano. Następnie młody spec dobrał mi się do skóry, dosłownie, gdyż po kolejnym znieczulającym psiknięciu wydobył na wierzch całego chipa, wprawnymi ruchami wymienił w maleńkiej szufladce mikroskopijną baterię i ponownie umieścił element w specjalnie uformowanym przed laty fałdzie skóry pod moją pachą. Przedtem założył ponownie rękawiczki i posmarował całość sterylnym żelem. Potem bez słowa zebrał swoje przybory i opuścił pomieszczenie.

- I po bólu, proszę pana – powiedziała dziewczyna, odłączając ode mnie przewody.– Reszta też już wyregulowana i przegląd potwierdzony. Następny, jak zwykle, za pół roku. Życzę powodzenia.

- Na samochód przeglądy dają na rok – westchnąłem, zapinając guziki koszuli.

- No, nie na wszystkie.

- Racja. Na składaki też tylko pół roku. Przynajmniej jakieś równouprawnienie.

- Obawiam się, że pan nie jest na bieżąco. Od nowego roku już ich w ogóle nie będą rejestrować. Nawet z przeglądem.

No, mimowolnie poczułem się nieco lepiej. Czyżby wracało nowe i człowiek odzyska przewagę nad maszyną?

Pożegnałem się i opuściłem gabinet. W drodze do wyjścia mijałem na korytarzu kolejnych oczekujących na przegląd. Panowała całkowita cisza. Przypomniało mi się, jak przed wielu laty w takich okolicznościach panował zawsze gwar, ludzie licytowali się w wymienianiu swych dolegliwości, zachwalali jednych i ganili innych lekarzy, albo doradzali domowe sposoby na wszystko. A o czym tu teraz gadać? Nawet tych cholernych wykresów na ekranie nikomu nie pokazują! Musisz się postarać o specjalne zezwolenie, podać wiarygodna przyczynę, no i oczywiście zapłacić.

Jeszcze tego samego wieczoru kupiłem bilet i poszedłem na zaległy sferyczno-panoramiczny seans do kina. Gdzieś tam w dyspozytorni mój chip spowodował pewnie maleńki impuls, ale tym razem pozytywny i nic się nie stało, nikt mnie nie zatrzymał. Byłem zadowolony, że przegląd był solidny. Odkąd zniesiono opłaty, nikt już nie korzystał z lipnych przeglądów, wykonywanych jeszcze nie tak dawno za pół ceny przez różnych uzdolnionych kombinatorów. A był to całkiem niezły biznes, jak mówiono.

Gdy dotarłem do domu, tej nocy nie męczył mnie żaden koszmar i wyspałem się wreszcie jak człowiek ...

Juliusz Rafeld

NOC PRZYSTANIĄ MOICH NAJGŁĘBSZYCH MYŚLI

Biorąc wszystko tak na chłodno. Nie tylko obecną sytuację, ale całokształt tego świata. Dlaczego tak jest? Co jest powodem tego, że większość tak łatwo daje się zmanipulować garstce ludzi? Gdzie tkwi tego podłoże? Uważam, że nie w tej "garstce ludzi", ale jak najbardziej w nas samych. Najłatwiej jest "grać" kimś kto manipuluje się.. sam. Oczywiście! Kimś, kto za cel życia obrał sobie cele materialne, nie tylko kasę, ale inne dobra oferowane i tak łatwo oraz bezkrytycznie konsumowane przez nas. Piszę "nas" choć nie mam na myśli siebie, ale czuję się częścią tej całej machinerii. Otóż... Najprościej jest sterować ludźmi, którzy mają klapki na oczach i sensem ich życia jest jakikolwiek zysk. Czy w formie finansowej, czy też poprzez zaspokojenie potrzeb psycho-fizycznych, jakim może być np. uczestnictwo w życiu społecznym, ale jedynie na warunkach tych nielicznych, którzy gdzieś mają potrzebę najważniejszą w naszym życiu - potrzebę wolności i dobrowolnego wyboru zgodnie ze swoim sumieniem. Tak więc większość na to pozwoliła i da się ponownie zmanipulować, ponieważ sama uczyniła ze swojego życia grę. Na czym ona polega? Po pierwsze, na układaniu swojego świata zgodnie z oczekiwaniami innych; znajomych, rodziny itd. Nie mają odwagi, czy siły przeciwstawić się ich opinii, argumentując to w ten sposób: "co ludzie powiedzą?". Żyją więc w ten sposób, by nie podpaść swoim cenzorom, robiąc dobrą minę do złej gry, zachowując pozory szczęśliwego życia, małżeństwa itd. Oczywiście nie przeszkadza im to w robieniu sobie nawzajem świństw, zdradzając, ukrywając niewygodne fakty przed znajomymi, rodziną itd. Potem zakładają tę maskę "szczęścia" na twarz i wychodzą w niej demonstracyjnie do ludzi. Dlatego nie winię za obecną sytuację tak bardzo rządzących, ale właśnie takie osoby, które wolą dalej nosić te maski i udawać, że nic się złego nie dzieje w imię obrony swoich egoistycznych potrzeb, które w przyszłości okażą się niczym wartościowym w porównaniu z tym, co próbują nam odebrać – WOLNOŚCI. Trzeba przyznać, że to im się udaje bez większego oporu. Dlatego NIE widzę w tej chwili większych szans na przełamanie tego impasu intelektualnego wśród większości z nas. Nie widzę dopóty, dopóki kasa, dobra materialne czy wygrzewanie się niektórych na wysokich stanowiskach, będą głównymi celami naszej egzystencji na tym padole łez, za który my odpowiadamy. Dopóki będziemy tak samolubni, zakłamanii oraz nieżyczliwi wobec siebie. Ktoś powie: "po co się ona produkuje? co ona dziamoli? czy może ma jakieś braki?". Otóż mam się dobrze, nic mi nie brak, co potrzebuje w życiu to mam, fizycznie oraz mentalnie nie mam szczególnych braków. Nie produkuje się, bo to, co piszę, przychodzi mi lekko i nie zależy mi na jakichkolwiek względach innych. Wystarczy, że ktoś dzięki temu otworzy oczy i zastanowi się dlaczego tak łatwo jest nami "grać"? WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE MANIPULUJEMY SOBĄ SAMI.

Piszę to dlatego, ponieważ **noc jest przystanią moich najgłębszych myśli** i dlatego, że wierzę, że spróbujecie je też tam odnaleźć. Czego wszystkim Wam życzę. Pozdrawiam myślących.

Marta Pęcak

„Gdy wychodzimy z samego rana, ulepić w parku wielkiego bałwana”

To fragment wiersza o zimie. I my doczekaliśmy się pięknej zimy. Oczywiście jak zawsze, podczas gdy jedni się cieszą, inni narzekają. A my cieszymy się tym pięknym czasem, potrzebnym nam wszystkim. Pamiętajmy też o ciepłym ubraniu, gdy będziemy wychodzić na zimowy spacer, by podziwiać piękne widoki.

Chcę napisać o pewnej części naszej garderoby, która jest używana nie tylko przez mężczyzn, ale również przez kobiety. Szczególnie w zimie kobiety chętniej ubierają spodnie. W domu noszą dresy, a do pracy spodnie eleganckie lub dżinsy.

Przeglądając strony internetowe, można zauważyć bardzo dużo rodzajów spodni. Ich nazwy często trudno wymówić. Oto kilka z nich: palazzo, culoty, capri, cargo i inne. Nie będziemy zajmować się wszystkimi fasonami. Opiszemy kilka rodzajów, które są nam dobrze znane.

Kilka lat temu doradzono mi, bym kupowała tylko rurki. Nie ważne było, że są obcisłe, niekoniecznie wygodne, każdy musiał je mieć. Dziś wiemy, że nie warto ograniczać się tylko do noszenia jednego fasonu spodni. Warto się jednak przełamać i zacząć nosić ich różne fasony.. Przedstawię kilkadziesiąt nich, może ktoś już je nosi i nie wie, że wróciły do mody.

Chinosy – spodnie w militarnym stylu, zapożyczone z męskiej garderoby. Charakteryzuje je podwyższony stan i luźny krój. Są luźne, nawet można powiedzieć – workowate. Często noszone przez młodzież szkolną.

Boyfriendly – jak chłopak, spodnie o męskim, luźnym kroju. Mają proste nogawki lub nieznacznie zwężone na dole. Nogawki można podwinąć. To spodnie z przetarciami, a nawet z dziurami.

Mom jeans – spodnie dość szerokie w biodrach, z wysokim stanem. Taki krój spodni wrócił do mody i jest często spotykany dziś w stylizacji codziennej.

Dzwony – obcisłe w biodrach i udach spodnie, od kolan rozszerzające się ku dołowi. W ostatnim czasie są jednym z najciekawszych trendów w damskiej modzie.

Cygaretki – krój ponadczasowy, z miękkiego materiału, zaprasowane na kant, długie do kostek. To spodnie eleganckie, chętnie noszone do pracy.

Dżinsy od lat cieszą się popularnością wśród kobiet. Mogą być w różnych formach i kolorach. Noszone do pracy, na zakupy i na spacer.

Capri to spodnie obcisłe z nogawką sięgającą do połowy łydki. Mogą mieć rozcięcia po bokach lub wywinięte mankiety.

To tylko kilka fasonów, które być może mamy w szafie. Nie bójmy się ich założyć. Nie bójmy się, że ubieramy się niemodnie. Właśnie ten styl może być w danej chwili najmodniejszy. Już nie musimy nosić wyłącznie rurek. Mamy duży wybór. Każdy może znaleźć coś dla siebie odpowiedniego. Ważne jest tylko to, by było nam wygodnie i oczywiście w zimie ciepło. Możemy czuć się pięknie i wygodnie w każdych spodniach. . Ubierajcie różne fasony i różne kolory. Bawcie się modą i zawsze bądźcie uśmiechnięte Drogie Czytelniczki, bo” pogoda ducha” w życiu najważniejsza.



Irena Bartoszek

HANIA W SZKOLE

1 września 1967 roku zostałam uczennicą pierwszej klasy Szkoły Podstawowej w Sierakowie. Elementarz Falskiego miałam już w połowie opanowany, a w Ali, Oli i Asi byłam zakochana po uszy. Miałam nowy tornister z zeszytami w wąską linię i kratkę, piórnik z ołówkiem, obsadką ze stalówką i gumką „Myszką”. Były też kredki kolorowe, no i obowiązkowo fartuszek z białym kołnierzykiem. W naszej szkole klasy były łączone. Była to mała szkółka z trzema pomieszczeniami, czwarty lokal wynajmowany był u Łokaja. Szatnia na korytarzu to pożał się Boże-parę wieszaków i gwoździ wbitych w ścianę. Butów nikt nie zmieniał, bo wtedy nie było takiej opcji. Ubikacje były na podwórku i śmierdziały wapnem palonym. Gromada pocięta na kawałki służyła jako papier toaletowy (Gromada to gazeta z tamtych czasów). Ławki w klasach były drewniane, pomalowane na zielono z kałamarzem na środku pulpitu...stalówką pisaliśmy do klasy czwartej... Zeszyty pełne były kleksów, a palce całe ubrudzone w atramencie. Wody w szkole nie było, a w czasie zimy ogrzewały nas piece tzw. ogrzewalniki. Pierwszą wychowawczynię pamiętam jak przez mgłę...szczupła brunetka o imieniu Emilia. Razem ze mną do klasy chodzili: Ania P. ; Zosia N.; Piotrek G.; Ela Cz.; Stasio C.; Stach Ż. ;Danusia S.; Tereska K. (mam nadzieję, że nikogo nie pominęłam). Nie byłam celującą uczennicą, ale w pierwszej trójce zawsze się mieściłam. Nauka przychodziła mi łatwo, więc nie musiałam za wiele przesiadywać nad lekcjami. Nie byłam zbyt lubiana...nie byłam ani przebojowa, ani ładna, ani też zbyt bogata.



Byłam skarżypytą. Pamiętam jedną akcję ze mną: „Proszę Pani oni się drą” (moje oskarżenie) i bolesny kopniak w cztery litery od jednego z tych wrzeszczących. Lubiłam czytać ,więc wypożyczałam książki w szkolnej bibliotece i w wiejskim punkcie u Łączkowej. Potem doszedł punkt w Pólsierakowie u Marka i biblioteka gminna w Harasiukach. Pomimo że szkoła w Sierakowie była malutka, to mieliśmy Mikołajki, Choinki, Dzień Nauczyciela, 1 Maja i czasami potańcówki przy patefonie(we wsi światło założono w 1971 roku, ale szkoła była oświetlana z agregatu) .Do szkoły chodziliśmy na piechotę. Wiosną i jesienią to była frajda. W zimie zaś to był survival. Półtora metrowe zasy, mróz i wiecznie mokre buty...Katar po pas i odmrożone palce były na porządku dziennym. Zimowe lekcje W-Fu spędzaliśmy na Kalwarii, a letnie na piaszczystym boisku w lesie za szkołą. Ósmą klasę ukończyłam w Zbiorczej Szkole Gminnej w Harasiukach...Wysłano tam uczniów prawie z całej okolicy (Sieraków, Kusze, Harasiuki, Derylaki, Łazory i Gózd Lipiński).To była nowoczesna szkoła Tysiąclatka.Jasne klasy, szatnia, kuchnia ze stołówką,sala gimnastyczna, łazienki, woda bieżąca, centralne ogrzewanie i autobus dowożący nas na lekcje tam i z powrotem. Edukacja w szkole podstawowej to była wspaniała przygoda...miałam ogromny apetyt na wiedzę, na nowe możliwości które się otwierały ...

Ach.... tamte czasy chmurne i durne czasami... Niebawem czekał wybór szkoły średniej..

Ale to już kolejna garść wspomnień.

Na zdjęciu Hania i jej Pierwsza Komunia Święta...Hania ,Rodzice i Rodzice Chrzestni.

Anna Niedźwiecka

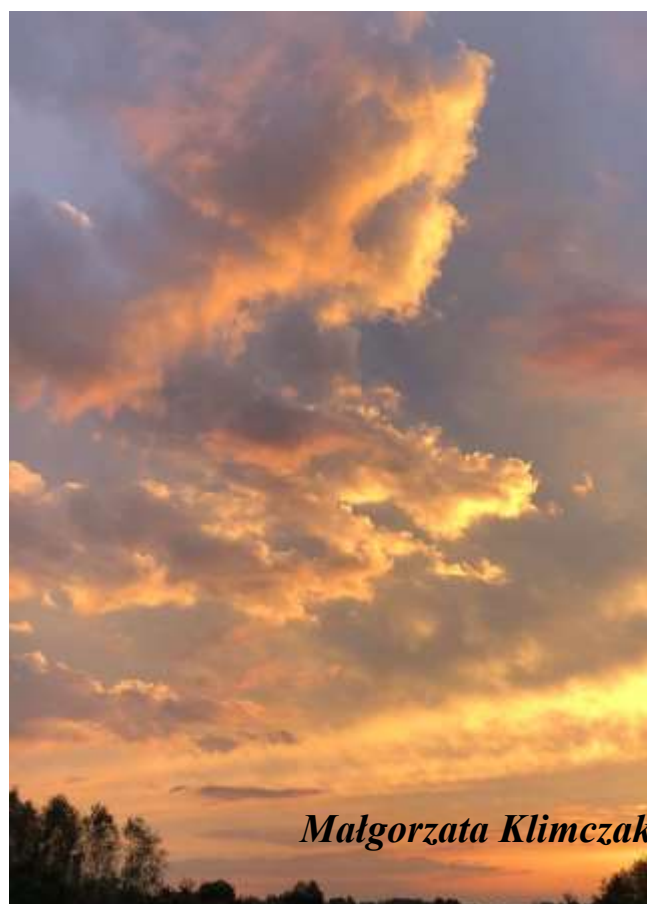
Z OKNA ROMANTYCZKI



Zuza Bak



Zuza Bak



Małgorzata Klimczak



Natalia Bożek

BALLADA O PISARZU

wciąż chwyta za pióro
zdarza mu się zgubić rytm
uzupełniać litery
umykające coraz krótszemu wzrokowi
spieszy się by zdążyć
zanim ciemność okryje stare historie
słowa zmieniają znaczenie
a twarze pokryją się patyną

inaczej pomalowałby ściany
częściej wyprowadzał psa
szeptem pytałby o zaginione książki
głośniej mówiłby o miłości

i pisałby
o człowieku który chciał być inny

Juliusz Rafeld

CHWILA

dostałam dziś
od ciebie
tak o
z ręki do ręki
z ciasta francuskiego
z jabłkami

drożdżówkę

za oknem mglisto
drzewa bez liści

J. Bożek-Krasoń

WIRTUALNE OBIETNICE

Dużo...
było tego...
była...
kawa;
kubek, spacer i...
wirtualne dni.
I piękne obietnice ,
o jakich nie jeden mężczyzna śni.
I noce
nieprzespane...
Naprawdę cudne dni...
I...
koc też miał być,
na zawsze... przecież wszystko miało być.
Wirtualne obietnice... po prostu czyste łzy
Już nigdy... nic na próbę.
Prawdziwy winny JA.

Krzysztof Sprysak



Pierniczki

Składniki :

Przepis na 50-60 sztuk

- 1 jajko
- 1/4 szklanki miodu
- 80g masła
- 1/2 szklanki cukru
- 2 i ¼ szklanki mąki pszennej
- 1 łyżeczka sody oczyszczonej
- 2 łyżki przyprawy do piernika

Przygotowanie:

Miód, cukier i masło podgrzać w garnku do rozpuszczenia się cukru. Przestudzić. Dodać pozostałe składniki sygnie i wyrobić. Jeśli ciasto będzie suche dodać więcej miodu. Jeśli będzie zbyt miękkie-schłodzić. Piec ok. 8-10 minut w temperaturze 170-180 stopni.



***Koło Gospodyń i Gospodarzy Wiejskich
w Hucie Krzeszowskiej***

NA WESOŁO

W teatrze...

Jasio mówi do mamy:

- ale nudna sztuka.
- to czemu bijesz brawo?
- bo się skończyła.

- Czy zostaniesz moją żoną? - pyta chłopak swoją dziewczynę.
- Nie wyjdę za cienie. Mój przyszły mąż musi umie dobrze gotować, pracować, sprzątać, robić zakupy, patrzeć we mnie jak w tęczę, wypełniać wszystkie moje życzenia...
- Rozumiem. Cofam moją propozycję. Pozwól jednak, że przez chwilę pozostanę jeszcze na klęczkach i pomodłę się za tego biedaka

- Dwóch Polaków na stacji benzynowej w Niemczech zaczepia Niemca tankującego swój samochód :
- Dzień dobry, podwiózłby nas pan do Berlina?
 - Was?
 - Tak, mnie i kolegę.

Do pewnej gazety, do kącika porad miłości przed Walentynkami nadszedł list od młodej dziewczyny:

„Mój chłopak przychodzi na spotkania z dużym zarostem. Co mam robić?”

Redakcja odpowiedziała:

„Nie spóźniać się tak bardzo na randki.”

Rozmawiają dwaj faceci:

- Chłopie, do czego to doszło żebyś ja płacił 6 złotych za paliwo!
- A drugi na to;
- Spoko. Więcej niż 9,99 nie będzie
- Dlaczego?
- Bo się nie zmieści na tablicach

- Jasiu, przeczytałeś trylogię Sienkiewicza?
- To trzeba było przeczytać?
- Tak, na dzisiaj.
- No super, a ja przepisałem...

STOPKA REDAKCYJNA

Redakcja: Joanna Bożek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia Bożek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska,

Natalia Bożek, Andrzej Wójcik, Juliusz Rafeld, Anna Niedźwiecka, Irena Bartoszek, Zuza Bak, Marta Pęcak

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul. Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

Druk: Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 100 egz.

Strona tytułowa- fragment piosenki "Upływa szybko życie"